

**KRZYSZTOF** **KOTOWSKI**

**KAPŁAN**

**5WHY** PROMOTION

*część pierwsza*

# **NOC KAPŁANÓW**

*Ja jestem Achilles i Hektor,  
Antoniusz i Oktawian,  
Napoleon i Nelson,  
Chrystus i Omen.  
I pamiętam wszystko!  
Czy może być coś straszniejszego?*

Krzysztof, pacjent numer 92  
X Oddziału Szpitala Psychiatrycznego w Warszawie

## PROLOG

*Malia, Kreta, rok 1692 p.n.e.*

– Znaj chwilę stosowną, a od młodości obieraj mądrość za towarzyszkę życia, ze wszystkich dóbr ona najpewniejsza – powtórzył spokojnie Tacjades, obserwując chłopca.

Niesforny dziesięciolatek wciąż ciskał kamienie w morze, udając, że nie słyszy. Rozczochrane, ciemne włosy wpadały mu do oczu, ale zdawał się nie zwracać na to uwagi. Opadł na kolana i rozpoczął gwałtowne poszukiwania odpowiedniego odłamka skalnego do kolejnej próby. Kamień miał się odbić od powierzchni wody co najmniej trzy razy.

– To nudne, Tacjadesie – jęknął wreszcie dzieciak, wyczuwając, że tym razem nie ucieknie od rozmowy.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie wiem. Po prostu nudne. Po co mam się tego uczyć?

– To nie lekcja, Hezonie, jestem twoim ojcem, nie nauczycielem. – Tacjades postanowił jeszcze trochę być wyrozumiały. – Nie możesz bez przerwy poświęcać czasu na agony\* z synami Filandra i zawody w ciskanie kamieniami w morze. Przynajmniej kilka chwil dziennie poświęć własnemu umysłowi, nie jesteś fellachem ani zeugitą.

\* Agony – starożytne greckie zapasy.

– Od tego są lekcje, Astarte, a... – chłopak przerwał w pół zdania, rozumiejąc, że się zagalopował. Zerknął ostrożnie w stronę ojca, ale on patrzył na niego wciąż spokojnie i cierpliwie, lekko tylko marszcząc brwi.

– Przepraszam – powiedział cicho. Wstał z kolan i czekał na reakcję Tacjadesa.

Ojciec wciąż jednak milczał, przyglądając się rozbieganym, ciemnym oczom dzieciaka.

– Znowu Hollas straszył cię piratami? – spytał wreszcie z troską w głosie.

– Kiedy dorosnę, będę potężny jak Amenemhat\* – odparł dumnie Hezon, jednak nie zdołał ukryć przed ojcem lęku, który jak na złość teraz wyraźniej dało się wyczuć w głosie chłopca.

– Jesteśmy Eteokreteńczykami, a nie Egipcjanami. Wystarczy, że będziesz mężny jak Filander. I nie kpij więcej przy mnie z Astertusa, to nauczyciel.

– Lecz nudny, Tacjadesie. Wszyscy nazywają go Astarte\*\*.

– Brawo, obrażają nie tylko nauczyciela, ale i cudzych bogów. Bierz z nich przykład! Jak Astoreth przyjdzie kiedyś do ciebie we śnie i poprosi o rozliczenie, zobaczymy, jaki będziesz bohaterski.

Hezon wyraźnie się wystraszył. Patrzył szeroko otwartymi oczami na ojca, czekając na jakieś wyjaśnienie. Tacjades podszedł do niego szybko i mocno przytulił.

– Żartowałem, maluchu. – Uśmiechnął się dobrodusznie. – Ale nie wyzbywaj się szacunku do żadnego człowieka, jeśli nie jesteś absolutnie pewien, że racja jest po twojej stronie.

– A kiedy mogę być tego pewien?

– Jak dorośniesz, być może twój umysł pozwoli ci dostrzec różnice między ludźmi. A jeśli jeszcze raz Hollas będzie

\* Amenemhat III – władca Egiptu od 1853 p.n.e., XII dynastia.

\*\* Astarte (Astoreth) – bogini księżycy, niebios, wojny i miłości, czczona przez Fenicjan, Asyryjczyków i Babilończyków.

paplać o piratach, powiedz mu, że poproszę kapłana, aby nasłał na niego Molocha\*. Nie żartuję! To nie są tematy do rozmów młodzieńców.

– Moloch to też nie nasz bóg – jęknął nieśmiało dzieciak.

– Wiem, ale dla celów wychowawczych możemy go sobie pożyczyć zza morza!

Przez chwilę nic nie mówili. Szum morza jakby przycichł i wyraźniej słychać było ze wzgórza pomruk potężnego pałacu, widocznego stąd jak na dłoni. Dziesiątki postaci krzątających się między wszechobecnymi czerwonymi kolumnami na wszystkich kondygnacjach niczym w labiryncie Dedala gotowały się do wieczornych zajęć: narad, modłów, spotkań lub pracy przy pitosach, w ogromnych kuchniach czy przy remoncie skrzydła wschodniego, który trwał już od wiosny. Choć z tego miejsca do pierwszych polythyr\*\* trzeba było iść co najmniej trzy stadiony, ta niezwykła, monumentalna, asymetryczna kompozycja z najprzeróżniejszej wielkości bloków, sześciątów i prostokątów składających się na apartamenty, megarony, perystyle, łaźnie czy baseny nawet o tej porze dnia, kiedy słońce miało się ku zachodowi – pyszniła się szcegółami, kolorytem i fantazją zrodzoną niegdyś w umysłach wielkich inżynierów z Malii. Potężna bryła pałacu być może nie była aż tak ogromna jak w Knossos, a całość tak bogata jak w Fajstos, ale musiała nowych przybyszów przygniatać już samym swoim wyglądem niczym uśpiony cyklop zastępy w skałach.

Tacjades dostrzegł drobną postać biegnącą w ich stronę. Po chwili rozpoznał Tiksa – jednego z chłopców roznoszących drobne wiadomości wśród prythanów\*\*\* i ich rodzin.

\* Moloch – bóstwo czczone przez Asyryjczyków, Fenicjan i Kartagińczyków; składano mu ofiary z ludzi, czasem nawet z niemowląt.

\*\* Polythiry – ściany przebite otworami, charakterystyczne dla starożytnych kreteńskich pałaców.

\*\*\* Prytanowie – członkowie wielkiej rady sprawującej władzę nad miastem.

– Panie! – krzyczał z daleka. – Straszne wieści! Straszne wieści! Panie!

– Spokojnie, chłopcze – rzekł Tacjades, gdy posłaniec w końcu go dopadł. Wiedział, że dzieciak często zbyt aktorsko przekazuje rozprowadzane wiadomości. – Mów po ludzku.

– Czcigodny Filander kazał natychmiast cię znaleźć, panie. Zaraz narada u króla!

– A co w tym takiego straszniego?

Tiks przez chwilę znieruchomiał, jakby obliczał coś w swojej rozgrzanej łepetynie.

– Tak dokładnie to nie wiem – przyznał ze wstydem. – Ale wiem, że coś się stało. W pałacu wielki niepokój i pośpiech.

Tacjades przez moment się zastanawiał. Poprawił na ramionach swoją szatę przypominającą nieco męski peplos i roztarł dłonie, jak to zwykle czynił, gdy chwila wymagała rozważnej decyzji. Jego szczupła sylwetka, mimo młodego jeszcze wieku, miała w sobie naturalną dostojność. Zaczynał łysieć, ale nie robił z tego problemu. Ciemne, lekko przymrużone oczy nigdy nie gubiły wrodzonego spokoju, choć tym razem tliła się w nich zapowiedź ostrzegawczej myśli, że może jednak dzisiaj Tiks niewiele mija się z prawdą.

– Hezonie, wracaj do matki – rzucił w stronę syna cicho, ale na tyle zdecydowanie, aby tamtemu szybko wyparowały z głowy jakiegokolwiek buntownicze pomysły. – I włóż coś na siebie, nie biegaj tak nago, robi się zimno.

Chłopcy pomknęli szybko w stronę pałacu, ale Tacjades został jeszcze przez chwilę nad brzegiem morza. Wbił wzrok daleko w horyzont, zaciskając mimowolnie dłonie.

– O Demeter, chroń nas! – wyszeptał. – Oby to nie było to, co myślę.

\*\*\*

– To łotry, penisy\*, raby\*\* gówniane! – cedził przez zęby Filander, potężny, wysoki, imponująco umięśniony blondyn idący obok przyjaciela długim korytarzem wzdłuż dziedzińca oddzielonego od nich portykiem. Świeżo odmalowane na ciemnoczerwono kolumny pachniały jeszcze farbą.

– Ciszej! – skarcił go Tacjades. – Nie wzbudzaj paniki. Kto jeszcze o tym wie?

– Nie mam pojęcia, posłowie są u króla. Jutro będziemy chyba jechali do Knossos.

– A tamci już wiedzą?

– Posłowie mówią, że tak.

Zaniepokojony Tacjades pokręcił głową.

– Ale Fajstos?! Rozumiem, że napadali na niewielkie miejsciny, lecz porwać się na taki pałac...

– Coraz bardziej są rozzuchwaleni, chcą prawdziwych bogactw, rosną w siłę. Niechby ich Megera potopiła w wirach! – pomstował Filander. – Od lat mówię, że powinniśmy mieć oddziały z prawdziwego zdarzenia, jak Egipcjanie, a nie tę bandę śpiewaków i tupaczy, którzy udają Hyksosów\*\*\*.

Tacjades zatrzymał się na chwilę, gniewnie spoglądając na przyjaciela.

– Pamiętasz jakąś wojnę na wyspie?

– No i co z tego?

– Mój ojciec, dziad i przodkowie, których znam, też nie pamiętają! To nie Cyrenajka czy Argolida! My nie znamy wojen! Nie umiemy ich prowadzić! Nie ma kto nas uczyć!

\* Penisy – tu: pogardliwie i wulgarnie o wrogach.

\*\* Rab – starożytny niewolnik.

\*\*\* Hyksosi – gr. forma egipskiego określenia semickich przywódców szczepowych pochodzących z Azji, którzy uzależnili od siebie w XVII w. p.n.e. cały Egipt.

Naczytałeś się i napatrzyłeś na Egipcjan, i przężysz mięśnie, a jak chcesz to zrobić?!

– Byliśmy tyle razy w Egipcie – upierał się Filander.

– Ale po to, by handlować! Wiesz, co będzie, jak się dowiedzą, że chcemy się zbroić?!

– Jesteśmy zagrożeni!

– To tylko piraci! – przerwał mu zdecydowanie Tacjades. – Zapuscili się za daleko i dostaną nauczkę, na to mamy siłę. Fajstos jest kiepsko ufortyfikowane i pewnie dlatego tam uderzyli, ale pamiętaj: to tylko bandy byłych rabów.

– I byłych żołnierzy – dopowiedział Filander.

– Wiesz coś o stratach?

– Odparli ich, jednak podobno nie jest dobrze. To dla nich wielki szok.

– Jak to po napadzie. Ilu ludzi zginęło?

– Nie wiem.

– A majątek?

– Nie wiem.

Tacjades machnął ręką.

– To przestań histeryzować, bo cię chłopcy usłyszą! Mój syn już chodzi cały rozdygotany, bo Hollas zachowuje się jak ty. Pójdziemy zaraz na radę i opanujemy sytuację. Kiedy mamy być u króla?

– Przyślą po nas.

– Dobrze, idę na razie do siebie, może zdążę się jeszcze umyć.

Tacjades dotknął ręką czoła i oparł się o ścianę.

– Co ci jest? – spytał Filander, widząc jego wykrzywioną twarz.

– Głowa mnie rozbolała, pewnie od tego twojego biadolenia – odparł, jakby bagatelizował sprawę, ale po chwili aż syknął z bólu i zacisnął mocno oczy.

– Lepiej posłę po lekarza, żebyś u króla był w formie.

– Jeśli mógłbyś... może rzeczywiście. Pójdę się na chwilę położyć.



- Lostis czy Alaraster?
- Obu nie lubię. Przyślij kogokolwiek. – Tacjades machnął ręką i poszedł wolno w stronę swojego apartamentu.

Hezon biegł dziedzińcem najszybciej, jak tylko potrafił, by wreszcie dopaść drzwi, a następnie wspiąć się na schody. Tam spodziewał się zastać Filandra, który, choć wciąż zaferowany wieściami z Fajstos, nie mógł się oprzeć, aby nie poklepać po pośladkach dwóch nagich służek przemykających korytarzem. Hezon, nie zważając na wymianę uśmiechów między nim a dziewczętami, dopadł do olbrzyma i mocno pociągnął go za tunikę.

– Uważaj, Hezonie! – Filander się uśmiechnął. – Podrzesz mi ubranie, a nie mam ciała takiego jak te syreny! – Widząc jednak przerażenie w oczach chłopca, szybko spowaźniał. – Co znowu?! – spytał z niepokojem.

- Mój ojciec!
- Jest u siebie – odparł Filander.
- Wiem! Ale coś się stało... Dopadły go duchy z Hadesu! Wydierają mu serce! Ratuj go!
- Przyłóż sobie coś zimnego do czoła, głuptasie, ponosi cię.

– Błagam, Filandrze, biegnij ze mną do niego!

– Nie żartuj ze mnie, Hezonie. – Olbrzym pokiwał groźnie palcem. – Ja też w dzieciństwie czytałem bajki cyrenajskie, ale nie robiłem o to tyle hałasu!

Łzy w oczach dzieciaka wydały mu się jednak autentyczne.

– Zaraz jest narada u króla, ale... no, dobrze, tylko szybko. Jeśli to żart, powieszę cię do góry nogami na drzewie przy dziedzińcu! – mruknął ostrzegawczo.

Gdy dobiegli do łóża, Tacjades był przytomny. Miał spoczone czoło, szeroko otwarte, nieobecne oczy, rozszerzone źrenice, a ciałem dziwnie regularnie wstrząsały dreszcze, jakby

był rzeczywiście poważnie chory. Przerażony lekarz stał przy nim, nieśmiało spoglądając co pewien czas na gniewne oblicze Filandra.

– Wiem, że nie lubisz lekarzy, ale to już przesada – wyszeptał przyjacielowi prosto do ucha olbrzym. – Co ci się stało, stary brachu?

Tacjades jakby nie usłyszał tych słów. Patrzył spokojnie, choć tępo w sufit, nie reagując.

– Powiedz coś, podstępny Sylenie\*, bo naprawdę zaczniemy się bać. Trzeba iść do króla – jęknął Filander.

Chory zerwał się nagle i mocno złapał szatę przyjaciela tak, że nawet on miał kłopot z nabraniem tchu.

– Dalekie krainy! – krzyknął Tacjades prosto w jego twarz. – Nieznani ludzie, nieznani bogowie i wojny! Jestem tam, Filandrze! Jestem tam teraz! Zabierz mnie z tego Hadesu, bo umarli idą po mnie!

– Ciągłe to krzyczy – wyjąkał lekarz z trwogą.

– Powinno się tu zabronić czytania wierszy Cyrenajczyków; poważni prythanowie już nawet chorują w poetyckim stylu. – Filander próbował się uśmiechnąć, ale po chwili spochmurniał, zniżył głos i nachylił się nad przyjacielem. – Nie wygłupiaj się, stary brachu, nie jest tak źle, nie wiedziałem, że ci piraci zrobią na tobie aż takie wrażenie.

Tacjades złapał kilka głębszych oddechów i zaczął mówić, ale już znacznie ciszej.

– Ja nie żartuję – szeptał przerażony. – Widzę dalekie przestrzenie, tak jak ciebie tutaj. Widzę strach, jaki trudno wyobrazić sobie śmiertelnikowi. Coś wciąga mnie niczym wir morski i wiem, że już nie puści, a ty nie jesteś w stanie tego zobaczyć. To przecież nie jest śmierć!

Filander mocno przygarnął do siebie Tacjadesa.

\* Sylen – bożek płynącej wody, który nauczył Dionizosa pić wino. Często upijał się, aby filozofować.

– Po prostu nagle się rozchorowałeś, może coś ci zaszkodziło, może nawąchałeś się tych dziwnych roślin z wybrzeża, może chłodny wiatr od morza przyniósł z tymi rabami jakieś świństwo, ale to z pewnością nie śmierć – uspokoił go, sam drżąc coraz bardziej.

– Wiem, że to nie śmierć – odparł chory prawie normalnym tonem. – Ale lęk rozdziera mnie na strzępy, bo czuję, że to coś znacznie gorszego.

*Okolice Jelling, kraj Danów, rok 987*

Konie Devirka i Desgeara gnały przez las tak szybko, że nie sposób było zatrzymać spojrzenia choć na chwilę na jakimkolwiek drzewie czy zwierzyńcu, z rzadka umykającej z drogi przed jeźdźcami. Zaczęło świtać już jakiś czas temu, jednak mimo że pół nocy jechali, nadal nie zwalniali tempa, mknąc wciąż na południe.

Devirk – młodszy o kilka lat od Desgeara i jakby drobniejszy, twarz miał delikatniejszą i mniej surową, ale włosy dłuższe, jasne jak zboże, niezwiązane niczym. O pół konia z przodu jechał Desgear, ubrany stosowniej do podróży – w ciepłe spodnie wąskie na łydkach i szerokie, gęsto plisowane od kolan w górę, koszulę wełnianą i wygodny kaftan ze skóry. Włosy splecione w regularne warkoczki nie przeszkadzały mu w szybkiej jeździe, choć gdyby ktoś teraz zajrzał mu w rozpalone oczy i dostrzegł zaciśnięte usta – z pewnością nie uciekłyby od trwogi i widok ten musiałyby zapamiętać na długo.

Devirk wyglądał nie tylko na spokojniejszego, ale nawet pozbawionego jakichkolwiek emocji. Jechał za starszym bratem jakby w półśnie, tępo wpatrzony w kłęb jego konia, nie mówiąc nic i nie narzekając na zimno, choć miał na sobie

tylko długą koszulę i lekkie spodnie. Na szczęście heyannir\* łagodny był tego lata i chłód nie dokuczał dotkliwie, choć właśnie o zdrowie brata teraz, kiedy zgubili już pogoń, Desgear martwił się najbardziej. Z przodu po prawej stronie błysnęło między drzewami jezioro i starszy brat postanowił zwolnić.

– Widzę jakieś domostwo! – krzyknął do tyłu, ale Devirk nie zareagował. Jechał wciąż za Desgearem, jakby obojętne mu było, dokąd go zaprowadzi.

Chata wyglądała na rybacką, mocno nadgryzioną zębem czasu, zaniedbaną i chyba opuszczoną, więc skręcili w jej stronę, ale jadąc już ostrożniej. Zanim jednak zatrzymali konie, z ciemnego wnętrza wyłonił się siwy starzec bez broni i – jak szybko dostrzegł Desgear – także bez oznak strachu na twarzy, czym na pierwszy rzut oka zyskał sobie jego sympatię. Strój starca wydał się obu braciom dość dziwny, niepraktyczny i nazbyt kolorowy: pełen ozdób, pętelek i osobliwych sznurków. Wszystko to było dziwaczne, bo nijak taka postać nie pasowała do rozwalającej się chałupy. Starość raczej nie nadwerężyła jeszcze jego tężyzny i – jak wynikało z wyrazu twarzy – także nie zaraziła umysłu. Tylko siwe włosy i poorane bruzdami czoło wskazywały na podeszły wiek.

– Jestem Desgear, syn Denavala, karl\*\*, a to mój brat Devirk – przywitał się uprzejmie starszy z jeźdźców, cały czas uważnie obserwując starca. Na wszelki wypadek.

Ten uklonił się, ale choć odpowiedział wolno i starał się mówić jak najwyraźniej, Desgear nie zrozumiał ani jednego słowa. No, może tylko *heil!*, co pewnie miało oznaczać powitanie. Chwilę niezręcznej ciszy przerwał spokojny, zmęczony głos Devirka.

\* Heyannir – nazwa jednego z miesięcy staronordyckich, według zwyczajów wikingów „czas zbierania siana”.

\*\* Karl – w społeczeństwie Normanów wolny człowiek.

– Mówi językiem Ludolfingów\*, jest z kraju Ottonów.  
– A skąd ty to możesz wiedzieć?! – zbeształ go Desgear.  
Devirk ponownie nie zwrócił uwagi na jego słowa, tylko – bez najmniejszego zresztą problemu – wypowiedział kilka niezrozumiałych dla starszego brata zdań, na które z kolei starzec zareagował z ogromnym entuzjazmem, rewanżując się kolejnym zbiorem syczących, szeleszczących i belkotliwych – jakby szczekał pies – głosek.  
– Mówi, że jest podróżnikiem i kronikarzem – wyjaśnił Devirk. – Przybył tu z synem, który poszedł chyba coś upolować. Bardzo jest rad, że nas spotkał i że rozumiemy jego mowę.  
– Widzę – warknął rozdrażniony Desgear. – Japa mu się cieszy, jakby wygrał worek złota w nefatavl\*\*.  
Zeskoczył z konia, uśmiechając się możliwie najszczerzej do starca, ale szybko spoważniał, kiedy podszedł do wciąż tkwiącego na koniu brata.  
– Skąd znasz jego język?! – syknął z wyraźnym niepokojem.  
– Nie wiem – odparł obojętnie Devirk. – Zostajemy tu?  
– Na wszystkich Azów i Wanów, co się z tobą dzieje, bracie?!  
– Zostajemy tu? On nas zaprasza.  
Desgear zacisnął mocniej usta z bezsilności.  
– Powiedz mu, że zostajemy, jeśli pozwoli – rzekł z irytacją.  
Devirk szepnął do starca kilka słów, a po otrzymanej odpowiedzi zgramolił się z konia i niemal natychmiast upadł na ziemię.  
– Mój brat jest chory! – rzucił Desgear do Niemca, ale tego nikt nie musiał tłumaczyć. Tamten szybko podszedł do nich, aby pomóc przenieść młodego do chaty.  
W środku położyli go na starym, drewnianym wyrze i dopiero teraz Desgear miał czas, aby się rozejrzeć.

\* Język Ludolfingów – tu: język niemiecki, od nazwy dynastii saskiej, z której pochodzili cesarze niemieccy, między innymi Otton I, II i III.

\*\* Nefatavl – popularna wśród wikingów gra planszowa.

- Co za brudas z tego Ottina, ten chlew nie nadaje się nawet dla zwierząt – jęknął, przykrywając brata swoim kaftanem.
- To nie jest jego dom, przyjechał tu wczoraj i dzisiaj wyjeżdża – odparł Devirk, otwierając zamknięte przez dłuższy czas oczy. – Nie wie, czyj to dom.
- Odpoczywaj.
- Widzę, że trudny czas obudził w tobie starych bogów.
- Nie trzeba ich zapominać, nawet wyznając Christa. Szczególnie teraz.

Starzec, widząc, że bracia chcą porozmawiać, wyszedł z chaty. Chwilę później wikingowie znów usłyszeli to dziwne szwargotanie, którym przywitał ich „gospodarz”, po czym jakaś wielka głowa z nienaturalnie krótkimi włosami zajrzała do chaty, aby się przywitać i szczerknęła oczywiście: „Heil!”. Uśmiech zdradził brak kilku kluczowych dla urody zębów, ale widać syn kronikarza nie miał kompleksów. Bracia przerwali rozmowę. Na ich oko młody Niemiec, w wieku około trzydziestu lat, wyglądał trochę głupkowato, więc tylko uprzejmie mu się odклонili i przestali zwracać na niego uwagę.

– Nie martw się tak – powiedział wreszcie Devirk, widząc wciąż zasmucone oblicze brata. – I tak podróż była nam sądzona.

– Podróż?! – oburzył się Desgear. – W środku nocy, niemal bez niczego, z sakwą na życie i jazdę może nawet do vetr\*, musieliśmy uciekać przed mieczami Tveskæga\*\*, bo tobie zachciało się romansowania z córką Dagome\*\*\*? To nazywasz „podróż”?!

\* Vetr – miesiąc rozpoczynający w kalendarzu wikingów zimę.

\*\* Tveskæg – Swen Widłobrody, przywódca buntu przeciwko swojemu ojcu Haraldowi Sinozębememu – władcy Jutlandii, Fionii, Zelandii i ziem dzisiejszej pd. Szwecji, późniejszy król Danii, Norwegii i Anglii.

\*\*\* Dagome – polski książę Mieszko I, zwany tak na Zachodzie i wśród Normanów. Jego córka, siostra Bolesława Chrobrego, Gunhilda (Sygryda) wyszła za Swena Widłobrodego.

– Ona nie jest jego żoną i być może nigdy nie będzie – odparł spokojnie Devirk.

– I jeszcze to! Teraz, kiedy zmogła cię ta straszna choro-  
ba! – warknął przez zęby Desgear, nie chcąc jednak, aby  
szwargoczący przed chatą Niemcy go usłyszeli.

– Kocham cię, bracie, ale nie prosiłem, abyś mnie ratował.

– Stul dziób, młokosie! Miałem pozwolić, by roznieśli cię na  
mieczach? Od tygodnia jesteś półprzytomny. I tak wyglądasz,  
jakbyś umierał.

– Co chcesz teraz zrobić?

Desgear nabrał głęboko powietrza, aby się uspokoić.

– Chcę dotrzeć do Truso\*. Słyszałem, że w tym mieście  
żyją w zgodzie i pokoju Słowianie, Danowie, Fryzowie, a na-  
wet Sasi. Tam mamy szansę. Zapomnimy, kim jesteśmy,  
zaczniemy od początku.

– Widziałem, jak zapomniałeś, kim jesteś. – Devirk  
uśmiechnął się z trudem. – Wypaplałeś temu Otтинowi wszyst-  
ko już w pierwszym zdaniu.

– Tutaj to co innego. Jesteśmy w swoim kraju. Zanim się  
rozniesie, co się stało, otworem staną przed nami wszystkie  
drzwi.

– Może jednak pójść za jarlem\*\*?

– Jarl jest zgubiony. Tylko na południu będziemy bezpieczni.  
Odpoczywaj.

– Ból głowy mija, słabość powoli też.

– Widziałem. Z konia zeskoczyłeś jak Tyr.

– To chwilowe, wiem, co mówię. – Devirk oparł się na  
łokciu. – Nie rozumiesz tego, bracie.

– Tak! Nie rozumiem! – Desgear wpił gniewny wzrok  
w młodego. – Nie wiem, jakie to czary i kto ci to zrobił, a choć

\* Truso – miasto nad jeziorem Drużno w okolicach dzisiejszego Elbląga.

\*\* Jarl – najwyższy kapłan i sędzia, ale tu Devirkowi chodzi o Haralda  
Sinozębego, przeciwko któremu wystąpił Swen Widłobrody.



znasz mnie, lękam się. Przez tyle dni w łożu krzyczałeś o bogach, dalekich krainach, szeptałeś w niezrozumiałych językach, teraz rozmawiasz jak ze swoim z tym Otthinem. Powiedz mi prawdę! Nie opuszczę cię, ale powiedz, co się dzieje?

– Sam tego nie pojmuję i wierz mi, że życie chciałem sobie odebrać jeszcze niedawno, jednak teraz próbuję... – Głos Devirka wreszcie stracił obojętność. – Od pacholęcych lat pływam z tobą po świecie i dużo już widziałem, ale to jest... jak wszystko naraz. Jak spojrzenie boga, większego od Walfadra, o którym Bestli marzyć nie mogła.

– Skąd znasz język Ludolfingów?!

– Znam języki ludów Karola i dawnych cesarzy\*. Znam krainy tak dalekie, że bracia o nich nawet nie marzyli. Znam istnień tysiące i śmierci tysiące, bo ktoś rozwarł przede mną jakąś bramę straszną i piękną, a pamięć otworzyła się na wszystkie czasy. Bracie, ja żyję tu i wszędzie jednocześnie, a jedyne, czego nie wiem, to kim naprawdę jestem i dlaczego jestem.

Devirk opadł z powrotem na łóżko, aby odpocząć.

– No, skromności to ci raczej nie przybyło – mruknął Desgear.

W głębi serca był przerażony. Objął dłońmi głowę i próbował się uspokoić. Podszedł chwiejnym krokiem do wyjścia, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, stanął w progu i ciężko oddychał, jakby to on biegł pół nocy zamiast koni. Stary Niemiec zbliżył się do niego, gadając po swojemu, jednak wiking nie reagował. Chciał wierzyć, że jego brat chwilowo postradał zmysły i że to minie w podróży, ale szaleńcy nie mówią językami ludów, których nigdy wcześniej nie poznali.

Niemcy pożegnali się około południa. Zrobili to na migi z Desgearem, któremu udało się wymachać uprzejmą prośbę, aby

\* Język dawnych cesarzy – łacina.

nie budzić brata, bo jest chory i przyda mu się kilkugodzinny odpoczynek. Wcześniej starzec zapisał kilka zdań w swojej księdze, po czym wyprowadził z synem z małej przybudówki w tylnej części chałupy wóz, na którym umieścił niewielki dobytek oraz własną szanowną osobę. Ciekawostką było to, że do wozu zaprzął osła, bo konia miał tylko szczerbaty olbrzym. Desgear odetchnął z ulgą, widząc, że wędrowcy nie kierują się w stronę Jelling, a raczej w kierunku Zelandii. Wiking odprowadzał wzrokiem dwójkę dziwaków, aż zniknęli między drzewami, a następnie wrócił do środka, gdzie od kilku już godzin Devirk spał tak mocno, że nie zbudziły go nawet hałasy pakowania kolejnych tobołków dwumetrowego, potężnego jak tur, za to wiecznie uśmiechniętego syna kronikarza. Ojciec, jak zorientował się Desgear, kilkakrotnie zwracał mu uwagę, by robił to ciszej, ale szczerbol wyraźnie nic nie mógł na to poradzić, że urodził się z rękami wyciosanymi z dębowin najciemniejszego saskiego lasu i – niestety – subtelnością Polifema\*.

Devirk obudził się dopiero pod wieczór, ale już po kilku chwilach poczuł dziwny, nieodparty niepokój. Siły wyraźnie mu wróciły i – jak ocenił po pewnym czasie Desgear – fizycznie właściwie przypominał młokosa sprzed kilku tygodni, gorzej było z tym, co brat dostrzegł w jego oczach.

– Na jak długo starczy ci tym razem sił? – spytał na wszelki wypadek.

– Teraz już będzie tylko lepiej – odparł Devirk, wyraźnie czegoś nasłuchując.

Podszedł ostrożnie do wyjścia, usiadł przy nim na minutę i dał znak Desgearowi, aby zamilkł. Oczy młodego wikinga

\* Polifem – mit. potężny cyklop występujący m.in. w *Odysei* Homera. Polifem uwięził w swojej jaskini Odyseusza i jego towarzyszy, zamykając wejście wielkim głazem, a następnie pożarł kilku z nich. Odyseusz jednak zdołał upić go winem, a kiedy olbrzym zasnął, wypalił mu rozżarzonym drągiem jedyne oko.

błyszczały w mroku jak ślepie sokoła szukającego zdobyczy. Jego ruchy – ciche, spokojne, przypominające bratu skradającego się wilka lub szakala z kraju Maurów, podarowanego niegdyś przez tamtejszego księcia Kamaala Sinożębemu, do którego tylko jarl mógł podchodzić i karmić go z ręki – znów obudziły stary lęk Desgeara.

– Coś słyszysz? – zagadnął szeptem z wyraźnym niepokojem.

Devirk poprosił gestem, aby brat milczał jeszcze przez moment, po czym poświęcił kilka chwil na zastanowienie. Opuścił głowę i zamknął oczy. Nie na długo jednak. Nie czas było teraz odpoczywać. Otworzył więc powieki i wbił wzrok w drzwi wejściowe.

– Co się dzieje?! – spytał wciąż szeptem, ale już bardziej zdecydowanie Desgear.

– Jak tu przyjechaliśmy, z tyłu, za domem widziałem starą łódź rybacką. Kiepską i wolną, ale to jedyna szansa. – Devirk mówił to, nie spuszczać z oka wejścia do domu. – Musisz przepłynąć na drugą stronę jeziora. Tam się spotkamy.

– Czyś ty postradał zmysły?! – oburzył się nie na żarty Desgear. – Myślisz, że nas znaleźli?

– Nie myślę, tylko wiem, że nas znaleźli, ale nie ci, o których myślisz.

– Na Thora\*! Kiedy ich usłyszałeś?

– Otoczyli dom, są w promieniu stu kroków od chaty.

– Skąd to wiesz, może ci się wydaje? Ja ich nawet nie usłyszałem, a ty wiesz, gdzie oni są?! To może powiesz jeszcze, ilu ich jest?

– Czterech.

– O Boże Chrście! Pomóż! – Desgear złapał się za głowę. – Albo ty jesteś szalony, albo czeka nas walka, a miecz mam

\* Thor – skandynawski bóg o ogromnej sile, przyjazny ludziom, opiekun domostw.

tylko ja. Twojego nie zdążyliśmy zabrać. Skąd wiesz, że jest ich czterech?

– Wiem. Posłuchaj teraz. – Młody wiking przeniósł wzrok na brata. – Tak nie damy rady, musisz zrobić to, o co prosiłem.

– To znaczy uciec?! – Desgearowi nie mieściło się to w głowie. – I zostawić ciebie, młokosa, na pastwę tych czterech, jak mówisz, zbirów. Kompletnie już postradałeś zmysły!

– Wybacz mi, bracie – prosił dalej Devirk. – Ale skoro widziałeś już tyle dziwnych rzeczy związanych ze mną, to uwierz mi, błagam, jeszcze tym razem, inaczej zginieemy.

– Chcesz z nimi walczyć sam?

– Ty nie dasz im rady.

– Przecież to ja cię uczyłem walki! Nie ma lepszego ode mnie w Jelling!

– W Jelling tak, lecz takich jak oni nigdy jeszcze nie miałeś przed sobą. W normalnych warunkach pięciu naszych nie dałoby rady nawet jednemu z nich.

Desgear cofnął się o krok pod ścianę i lekko otworzył usta, starając się za wszelką cenę ukryć przerażenie.

– Skąd wiesz?!

– Mówi mi to coś, co przybyło do mojego umysłu kilka dni temu i czego się tak lękasz. Wiem, kim są ci ludzie, i wiem, czego chcą. Przy nich psy Tveskæga to dzieciaki z różgami.

– Jeśli mamy zginąć, to razem.

– Oni nie przyszli po ciebie, ale po mnie. Ciebie zabiją tylko wtedy, jeśli staniesz im na drodze.

– Dlaczego chcą właśnie ciebie?

– Bo wiedzą, kim jestem. Chcą tego, co mam teraz w głowie. Nie wiedzą tylko, na ile zdążyłem nabrać sił. – Devirk przerwał na chwilę, aby Desgear dokładnie go usłyszał. – Dam im radę, jeśli wsiądziesz na tę łódź i zdołasz uciec. Nie będą cię gonić.

– Dwóch to lepiej niż jeden!

– Nie tym razem. Natychmiast cię zabiją albo wykorzystają przeciwko mnie.

– Dość, Devirk! Nie mam zamiaru tego słuchać. Pójdę razem z tobą. – Desgear wyjął miecz gotów do walki.

– Mamy tylko jeden miecz – zauważył spokojnie młody wiking.

– Jest tu trochę żelastwa, użyjemy go jako broni, może uda się im coś odebrać.

– Desgearze! – przerwał zdecydowanie Devirk. – Kończy nam się czas. Jeśli mnie nie posłuchasz, odbiorę ci miecz, a jeśli będę musiał, odbiorę ci też przytomność, abyś nie mógł przeszkodzić.

– O czym ty mówisz, bezczelny dzieciaku?! – roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni starszy brat. – Nie potrafiłeś mi nigdy zadać żadnego ciosu nawet drewnianym mieczem, a to nie zabawa. To jest metal; zabija, a ty nigdy jeszcze nikogo nie zabiłeś!

Zanim Desgear skończył, Devirk już był przy nim. Niemal niezauważalnym, precyzyjnym ruchem podbił w odpowiednim miejscu nadgarstek brata, wyjął mu z tak rozluźnionego na chwilę chwytu miecz i przystawił błyskawicznie ostrze do szyi Desgeara.

– Ja nie żartuję – szepnął bratu prosto do ucha Devirk. – Zrobisz, o co proszę, czy pogrzebiesz swym uporem nas obu?

Nastała krótka chwila ciszy. Niewielka strużka potu przemierzyła policzek Desgeara.

– Zrobię, co powiesz – odparł wolno starszy wiking. Mimo że brat oddał mu już miecz, nadal stał jak wryty na środku chaty. – Na Odyna! – szepnął, czując, jak łzy napływają mu do oczu. – Jeśli nawet bogowie są w moim bracie, jak mam go opuścić? Dan tego nie potrafi...

– Tylko tak możesz mi pomóc. Przedostań się na drugą stronę jeziora. Miecz weź, może być ci potrzebny. – Devirk podbiegł do wyjścia, po czym zniknął za nim niemal bezszelestnie.

Cisza dochodząca zewsząd do uszu Desgeara była nieznośna. Jeśli nawet w lesie jego brat walczył teraz na śmierć i życie, nie była to walka, którą Dan znał z dotychczasowego życia. Nikt nie krzyczał, nie ścierał się mieczem z wrogiem, nie upadał pokonany na ziemię, co Desgear na pewno by usłyszał. Tylko czasem jakiś krótki świst, złamana gałązka, jakby wiatr na chwilę wniknął między drzewa i znowu cisza. Mimo strachu narastającego coraz chłodniejszym cieniem w sercu, które, wydawać by się mogło, zamarło w przerażeniu – dumny wiking nie potrafił uciec. Ścisnął broń mocno w dłoni i wyszedł przed chatę, czekając na to, co nieuchronne. Dopiero teraz usłyszał, jak miecze spotykają się ze sobą. Ale czyniły to tak niesłychanie szybko, że żaden normalny człowiek dokonać by tego nie potrafił. Nagle na tle ściany lasu pojawił się człowiek ubrany w ciemnozieloną sukmanę, niczym mnich, i niemal natychmiast padł na ziemię po straszliwym ciosie. Leżał przez moment, nie mogąc się ruszyć, ale po chwili ciężko wstał i podniósł z ziemi sztylet, który wypuścił z rąk. Wtedy zza drzew wyłonił się Devirk. Jego wilcze spojrzenie jeszcze bardziej przeraziło Desgeara, i tak już odchodzącego od zmysłów w tę diabelską noc. Młody wiking trzymał w rękach czyjś miecz. Trochę inny niż zwykła broń Danów, bardziej zakrzywiony, przypominający italski. Wolno, spokojnie zbliżał się do rannego. Z lasu wyłonił się kolejny mnich. Szedł, zataczając się szeroko. Desgear wiedział, że jest śmiertelnie ranny. Ostatkiem sił umierający zdołał zdjąć z ramienia łuk, sięgnąć po strzałę i wymierzyć w Devirka.

– Nie!!! – wrzasnął na całe gardło stojący przy chacie bezradny wiking.

Trzej walczący natychmiast spojrzeli w jego stronę. Mnich, który podniósł się właśnie z ziemi, błyskawicznie sięgnął pod sukmanę po nóż i rzucił nim płynnym ruchem. Z pewnością trafiłby Desgeara, gdyby nie Devirk, który w ostatniej chwili zdołał podbić wrogowi rękę i zaraz potem zadać trzy

ciosy mieczem tak szybko, że jego starszy brat, obok którego świsnął przed chwilą rzucony sztylet, nie umiał tego nawet dostrzec. Ułamek sekundy później z huku drugiego mnicha wyleciała strzała w stronę młodego Dana. Znow nadludzko szybki i dokładny ruch mieczem i przepołowiona strzała spadła beżużytecznie na ziemię. Drugi mnich padł na ziemię nieprzytomny, a Devirk schylił się po odcięty grot strzały i przyjrzał mu się uważnie. Dopiero teraz groźnie spojrzął na brata i rozkazująco wskazał ręką łódź. Tym razem Desgear, nie czekając, szybko pobiegł w stronę jeziora. Devirk odprowadził go wzrokiem, a gdy tamten znikł, ponownie zaczął iść w stronę lasu.

# ROZDZIAŁ 1

*Warszawa, współcześnie*

Doktor Błażej Kulawik – rześki czterdziestolatek z kartoflastym nosem, twarzą okrągłą jak wiejski bochenek chleba, ale za to z kobieco uroczymi, jak twierdziła większość pielęgniarek, niebieskimi oczami, uśmiechnął się od ucha do ucha z nieklamaną radością i – trzeba przyznać – wdzięcznością, że doktor Aleksandra Sambierska raczyła z łaski swojej wrócić wreszcie z urlopu. Gdy więc ujrzał ją w drzwiach gabinetu, mógł spokojnie zwalić swoje co najmniej o trzydzieści kilo za ciężkie ciało z powrotem na wygodny fotel i odetchnąć z ulgą.

Kolega Kulawika, jego rówieśnik, zresztą kumpel ze studiów – Zenon Jabłoński, lekarz sumienny, dokładny i wnikliwy, ale nijak nieumiejący pozbyć się abnegackiego wyglądu, przysypiał na kanapie pod ścianą. Machnął niedbale ręką, reagując oszczędnie na powrót koleżanki do pracy i zaszczycając ją tylko krótkim: „Cześć, Marchewa!”, na powitanie.

Rudowłosa, drobna, niska pani doktor była uwielbiana przez ordynatora, bardzo lubiana przy tym – co może trochę dziwne – przez kolegów i zwykle szanowana przez pacjentów. Przynajmniej tych, którzy choć trochę łapali, o co dookoła chodzi. Jako psychiatra znana była z odczytania, dociekliwości i nieuleczalnej miłości do przypadków ciekawych i trudnych.



Pewien wyjątek poniekąd stanowił tu jej mąż – przypadek klasycznie ciekawy i trudny, który dwa lata temu wymienił ambitną żonę lekarkę na dziewiętnastoletnią absolwentkę szkoły zawodowej w Koluszkach o kierunku kulinarnym czy żywieniowym – w każdym razie jakimś związanym z żarciem. W tym przypadku diagnoza i rokowanie były raczej niepomysłne. Żyje im się od tej pory podobno wspaniale – ona jako zastępczyni bufetowej dba z poświęceniem o żołądek nowego męża, on rewanżuje jej się tym, że stosunkowo rzadko truje o filologii klasycznej, ograniczając się do wykładów na uczelni. Samotna pani doktor przeboleła już stratę, ale od tego czasu żaden poważny mężczyzna w jej życiu się nie pojawił. Podobno...

Obchodząc ostatnio swoje trzydzieste piąte urodziny, niko-go nie zaprosiła, nie urządziła przyjęcia, a tylko kupiła sobie dobry koniak i przepijając do lustra, udawała, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Koledzy uważali, że prześliczne piegi i uroczy uśmiech nadal ją zdobiły, a kretyn mąż może się schować! Choć niewdzięczny filolog klasyczny nigdy nie mówił, że odchodzi, bo żona nie może dać mu dzieci, ale jakoś tak się złożyło, że pani bufetowa w ciążę zaszła niemal natychmiast i bobas miał już prawie rok. Ktoś ze wspólnych znajomych go podobno widział, więc szybko doniesiono opuszczonej zdradziecko Oli, że dziecko jest brzydkie, czerwone i wiecznie drze mordę. Trochę pomogło.

– Jak było? – spytał wstępnie Kulawik.

– Znośnie. Pobiegałam trochę po górach. – Ola padła na fotel po drugiej stronie jego biurka. – A co u was?

– Ciekawie. Nawet Zenio tak twierdzi.

– Widzę – prychnęła z przyjacielskim zresztą uśmiechem. Zenio nadal przysypiał na kanapie.

– Weź się jakoś zachowuj! – skarcił go Kulawik.

– Spadaj, grubasie! – mruknął, nie otwierając oczu, Jabłoński.

– Chcemy o nim pogadać, jełopo! – nalegał.

Zenio otworzył oczy i pokręcił głową, okazując niezadowolenie.

– Nie daj się zrobić w bambuko, Marchewa – ostrzegł zdradziecko, posyłając koledze rewanzystowski uśmiech.

– Podniecacie mnie, łobuzy! Tamten już naopowiadał mi przez telefon, że macie coś, czego jeszcze nie widziałam. Gadjacie, do cholery!

Zenio przyjął powoli postawę siedzącą.

– Przyjechał do nas z neurologii – zaczął Kulawik. – Mężczyzna, dwadzieścia osiem lat, do tej pory niewykazujący żadnych odstępstw od normy. Trzy tygodnie temu stracił nagle przytomność, zaczął gorączkować, nie można było nawiązać z nim sensownego kontaktu. Przewieziono go do szpitala na Sobieskiego. Wyglądało na ostre zapalenie mózgu.

– No i? – spytała przepisowo Ola.

– To nie było zapalenie mózgu. – Kulawik wyjął z otwartej teczki jeden z dokumentów i podał koleżance. – Tu masz badania płynu mózgowo-rdzeniowego. Zrobili jeszcze rezonans, EEG i też guzik.

– Co to znaczy „guzik”?

– Rezonans czysty – wtrącił Jabłoński. – A w EEG tyle było artefaktów, że nie mogli niczego stwierdzić.

– Od kiedy jest u nas? – spytała Ola.

– Od dwóch tygodni – odparł Kulawik. – Przyjechał niedługo po tym, jak wyjechałaś.

– I chcesz, żebym go teraz przejęła? Po takim czasie? Co naprawdę stwierdziliście?

– Wszystko – mruknął znudzonym tonem Jabłoński.

– Pytam poważnie, Zeniu.

– A ja ci poważnie odpowiadam. Przerobiliśmy z nim tu chyba wszystkie możliwe psychozy. Jakby jaja sobie z nas robił. Sambierska spojrzała powątpiewająco na Kulawika.

– O czym wy gadacie?

– Olu, nigdy czegoś takiego nie widziałem – oświadczył śmiertelnie poważnie Kulawik. – Można było u niego stwierdzić objawy parafreniczne z wszelkimi możliwymi omamami

i urojeniami, paranoję prześladowczą, paranoję wynalazczą, rozszczepienie osobowości, schizofrenię zdeorganizowaną, katatonię, osobowość wieloraką, co tylko chcesz, codziennie co innego.

– Niemożliwe – przerwała mu Ola. – To musi być jakieś oszustwo.

– Szkoda, że tego nie widziałas. – Zenio również stał się kamiennie poważny.

– Mówcie, co po kolei. – Sambierska rozłożyła ręce.

– U nas zaczął od silnych stanów pobudzeniowych i lękowych – ciągnął Kulawik. – Widział Boga, diabła, anioły, historię świata, cytuję: „tysiące istnień”, czasy pradawne oraz te mniej pradawne i tak dalej. Później był po kolei jakimś urzędnikiem królewskim na starożytnej Krecie, następnie wojownikiem rzymskim, wikingiem, a nawet jednym z pułkowników Władysława IV. Doraźnie jechaliśmy na benzodiazepinach i obserwowaliśmy, bo żadnej terapii nie mogliśmy zastosować u kogoś, komu codziennie stawialiśmy inną diagnozę.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze się coś zmieniło?

– Potem się trochę uspokoił i zaczął mówić w jakichś obcych językach, i nie mówię tu o angielskim czy francuskim, ale takich, których by chyba żaden poliglota nie zrozumiał. Udawał karatekę albo kogoś takiego.

– Uuu... Jest unieruchomiony?

– Nie, nikomu nie robił krzywdy. Ograniczył się do „treningu”. Odosobniliśmy go na pewien czas, ale nie było z tego punktu widzenia kłopotów, więc wrócił do normalnej sali, pod okiem sanitariusza.

– Jak bystry?

– Ja za nim nie nadążam, a ty? – mruknął do Zenia.

Jabłoński machnął tylko ręką.

– Może poczekać na starego? – zaproponowała wreszcie Ola.

– Stary wraca za dwa tygodnie ze Stanów, to raczej nie wchodzi w grę – odparł Kulawik.

– No dobra, od kogo go przejmuję?  
– Od nikogo.  
– Słucham?  
– No, powiedzmy, że ode mnie – bąknął Kulawik. – Nie postawiono ostatecznej diagnozy, więc nie przydzieliłem go jeszcze nikomu, czekałem na ciebie. Dość dokładnie opisałem historię choroby, w teczce masz badania i wszystko, co zdołaliśmy zgromadzić.

Ola pokiwała głową, wstała z fotela i wolno przeszła się po gabinecie.

– Te urojenia z osobami, z którymi się identyfikował... może on przerabia swoje poprzednie wcielenia? Może wierzy, że...

– Raczej nie – przerwał koleżance Zenio.

– Dlaczego?

– Był rycerzem imperium karolińskiego i jednocześnie rzymskim kupcem. Podawał nam nawet dokładne daty. Żyli niemal równocześnie.

– Jak on to wyjaśnia?

– Nie wyjaśnia. – Kulawik rozłożył ręce. – Nie wie, dlaczego go to spotkało.

– To już coś – mruknęła z zadowolenia Ola. – Ma szansę się jakoś odbić. Może nawet wykorzystam te wcielenia...

– Będzie ciężko, to katolik.

– Dziewięćdziesiąt procent Polaków tak mówi, z czego połowa nie pamięta, kiedy ostatni raz była w kościele.

– Ten dokładnie pamięta.

– Jesteś pewien?

– Ponad wszelką wątpliwość. – Kulawik zamknął teczkę pacjenta i przesunął na drugą stronę biurka, aby Ola mogła się z nią dokładnie zapoznać.

\*\*\*

Ksiądz Krzysztof Lorent spokojnie wstał z łóżka. Postanowił, że przejdzie się po korytarzu i jeszcze raz uporządkuje myśli.

– Masz papierosa? – spytał jak zwykle Jacuś, pacjent z sąsiedniego łóżka. Był o kilka lat młodszy od Lorenta, chorobliwie chudy i wiecznie przygarbiony. Spotkał się z nim wzrokiem na bardzo krótko i nie czekając na odpowiedź, pobiegł gdzieś w pośpiechu.

Krótki, urywany śmiech starszego człowieka z trzeciego łóżka zawisł nagle w powietrzu. Krzysztof ruszył wolno do otwartych przed chwilą przez Jacusia drzwi. Wyszedł na korytarz i skręcił w lewo, w stronę okratowanego na końcu przejścia. Niewysoka lekarka, która szła naprzeciwko, ujęła Krzysztofa ciepłym, uroczym uśmiechem.

– Mogę zająć księdzu kilka minut? – spytała uprzejmie, gdy już się spotkali.

– Oczywiście – odparł, przytakując lekko.

– Może usiądziemy? – Wskazała wolną ławkę stojącą pod ścianą

Krzysztof, usiłując puścić ją przodem, zatrzymał się na chwilę, ale instynkt doświadczonego psychiatry natychmiast zareagował: „nigdy nie stawać do pacjenta tyłem”. Wzięła go więc z uśmiechem pod ramię i tak dobrnęli do ławki.

– Nazywam się Aleksandra Sambierska – przedstawiła się. – Nie znamy się jeszcze, pracuję na tym oddziale.

– Przydzielono panią do mnie? – spytał nieśmiało Krzysztof.

– „Przydzielono” to może niezbyt dobre słowo, proszę księdza, ale będziemy często się spotykać i ze wszelkimi problemami proszę zwracać się do mnie.

– Pani jest katoliczką?

– Nie – odparła szczerze. – Jestem niewierząca.

- Mówi pani o Bogu?
- Nie rozumiem.
- Mówiąc, że jest pani niewierząca, miała pani na myśli wiarę w Boga?
- Oczywiście.
- Nie zawsze to takie oczywiste. Jean-Paul Sartre twierdził, że znacznie więcej wiary należy z siebie wykrzesać, usiłując uwierzyć w materialny początek świata, a potem w teorię ewolucji, niż starając się uwierzyć w istnienie potęgi duchowej, która ten świat powołała do życia.
- Ciekawe, że ksiądz się na niego powołuje. Jeśli dobrze pamiętam, Sartre był lewicowym ateistą.
- No właśnie. – Krzysztof tajemniczym uśmiechem przyznał jej rację. – Co jest w takim razie dla pani podstawą do optymizmu? – spytał, zakładając nogę na nogę.
- Życiowego?
- Tak. Co sprawia, że chce pani codziennie rano się budzić, działać, stawiać przed sobą zadania?
- Właśnie to. Samo przez się. Warto żyć dla codziennych małych kłopotów, dla dobrej herbaty i smacznego śniadania, dla pracy i pożytecznych działań, dla oglądania nieba codziennie nad sobą i cieszenia się słońcem. Warto.
- Pani jest samotna... – wtrącił cicho Krzysztof.
- Nie czuję się samotna – skłamała lekarka, zaskoczona lekko tą uwagą. – Biorę to, co daje mi świat. A skoro Bóg stworzył świat, więc musi być on najdoskonalszym z możliwych. – Roześmiała się wesoło.
- Bardziej bym panią podejrzewał o cytowanie Woltera niż Leibniza.
- Liczę, że wykaże ksiądz trochę zrozumienia i tolerancji, współpracując ze mną.
- To już terapia?
- To po prostu rozmowa – skłamała ponownie Ola.
- Proszę mnie tak nie nazywać – poprosił uprzejmie pacjent.

- Jak?
- Proszę nie tytułować mnie księdzem. Odgrywam tu zupełnie inną rolę.
- Jak się księdzu wydaje, jaką?
- Pacjenta. I chyba niewiele się w tej kwestii myślę – odparł spokojnie.

Lekarka roześmiała się szczerze.

- No tak. Myślałam, że ksi...
- Krzysztof.
- ...że coś innego możesz mieć na myśli, Krzysztofie. Ja wprawdzie odgrywam tu rolę lekarki, ale mów do mnie Aleksandra. I jeśli pozwolisz, zadam ci kilka pytań. Niektóre mogą się wydawać trochę głupie, ale taka jest tu procedura.

- Proszę – zgodził się gładko.
  - Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?
  - Oczywiście.
  - Przypomnisz mi?
  - Mam objawy kilku ciężkich psychoz.
- Ola, mimo że przyzwyczajona do profesjonalnego zachowania wobec pacjentów, nie potrafiła ukryć zdziwienia.
- Znasz się na psychiatrii? – wybrnęła niezbyt mądrym pytaniem.

- Na tyle, na ile ksiądz się powinien na tym znać. Zaskoczyło cię, że zdaję sobie sprawę ze swojego stanu?

Lekarka przez chwilę milczała.

- Nie, zastanawiam się, czy moglibyśmy porozmawiać o twojej pamięci...
- Chętnie porozmawiam na ten temat, ale nie teraz.
- Dlaczego?
- Chyba oboje nie jesteśmy jeszcze na to gotowi, na pewno nie jesteśmy wobec siebie szczerzy, a to warunek konieczny do takiej wymiany myśli.
- Nie jesteśmy szczerzy? – powtórzyła Ola.

– W rozmowie ze mną skłamałaś przynajmniej pięć razy, ja tylko raz. To niesprawiedliwe.

Lekarka postanowiła nie zaprzeczać.

– Idę teraz na obchód. – Uśmiech nie zniknął z jej ust. – Przemyślę, co mi powiedziałaś, i wrócę za kilka godzin, zgoda?

– Zgoda.

Grupa lekarzy wolno weszła do kolejnej sali. Zanim jednak Kulawik zdążył zacząć, jeden z asystentów podszedł szybko do niego i szepnął mu coś na ucho. Lekarz skinął na Jabłońskiego, aby poprowadził obchód dalej, klepnął w ramię Sambierską i oboje wyszli na korytarz. Przeszli kilka metrów w stronę jego gabinetu, kiedy nagle się zatrzymał.

– Nie zdążyłem zapytać. – Rozejrzał się po pustym korytarzu. – Jak ci z nim poszło?

– Mądrała straszny – mruknęła Ola.

– Dasz sobie z nim radę?

– Poczytam trochę Tatariewiczza i powinnam opanować sytuację. – Uśmiechnęła się zdawkowo.

– Pytam poważnie.

Ola rozłożyła ręce i zastanowiła się przez chwilę.

– Lubi mieć kontrolę. Urządził sobie seans, na którym czułam się jak pacjent, i pewnie o to mu chodziło. Na pierwszy rzut oka chyba mnie polubił. Przygotowuje mnie.

– Do czego?

– Do tego, aby powiedzieć kilka rewelacji, w które mam uwierzyć. Chce mnie przekonać, że nie jest chory.

– Od czego zaczniesz?

– Od schizofrenii paranoidalnej.

– Ostrożnie. – Kulawik zajrzał jej głęboko w oczy. – Nie dopasowuj własnych teorii do pacjenta.

– Spokojnie, czytałam to, co mi dałeś. Rzeczywiście bardzo nietypowy przypadek, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę



przebieg pierwszej fazy ataku choroby, ale na początku chcę właśnie to wykluczyć. W przeciwnym razie zaproponuję terapię w tym kierunku.

Kulawik spojrział w stronę sali, z której właśnie wyszli lekarze, aby przejść do następnej.

– Jego proboszcz jest w moim gabinecie – powiedział po chwili.

– Mam iść z tobą?

– Tak.

*Châtillon, południowa Francja, rok 2007*

Aureil zamknął oczy i opuścił głowę. Milczał bardzo długo. Luigi Balea był przekonany, że mistrz się modli. Nie śmiał mu przerywać, więc czekał. Złożył ręce jak do rozmowy z Bogiem i obserwował wychudzoną, drobną, ale wciąż wzbudzającą w nim lęk postać nauczyciela.

– Czy to pewne? – odezwał się po dłuższym czasie Aureil.

– Wszystkie znaki na to wskazują – odpowiedział Luigi, schylając nisko głowę i nie chcąc spotkać wzroku starca.

Aureil nieśpiesznie przebiegł dłonią po siwych włosach.

– Tyle razy już się myliliśmy... – mruknął cicho, jakby do siebie.

– Teraz to naprawdę zupełnie co innego, ojczec.

– Krótko żyjesz, chłopcze. – Starzec pokręcił głową. – Przypomnij mi, ile masz lat?

– Dwadzieścia siedem.

– Hm. – Na ponurym obliczu Aureila przez sekundę za gościła zapowiedź ledwie zauważalnego, ale jednak uśmiechu. – Sześćdziesiąt lat temu, kiedy byłem w twoim wieku, też już kilka razy myślałem, że go znalazłem, że w końcu się

pojawił... I jak do tej pory zawsze się myliłem, podobnie jak mój ojciec i jego ojciec...

– Musimy spróbować! – zdobył się na odwagę Luigi, podnosząc głos, jednak wyczuł na sobie karcące spojrzenie mistrza, więc zamilkł.

– Nie mam swoich dzieci. – Aureil zaczął wolno przechadzać się po sali. – Mam tylko was i tę straszliwą wiedzę, którą przekazywano przez pokolenia. Muszę jej uczyć. Wy jesteście następnymi. Takie jest nasze przeznaczenie. Zamek, w którym mieszkamy, ma ponad czterysta lat. Jest tu wszystko, co zgromadziła przez ten czas moja rodzina. Wiesz, co by było, gdyby jakikolwiek nierozważny ruch zakłócił nam spokój?

– Wiem, ojcze, zdaję sobie z tego sprawę – jęknął cicho chłopak.

– Wiesz, jaka ciąży na nas odpowiedzialność?

– Tak, ojcze!

– I dalej uważasz, że go znaleźliście?!

Luigi odważnie podniósł wzrok.

– Tak, ojcze!

Starzec zmarszczył brwi i znów przez kilka minut milczał.

– No dobrze – odezwał się wreszcie. – Przygotujmy się więc. Niełatwo będzie się z nim zmierzyć. Aha, i na razie trzymaj Iosifa z dala od tego.

– Tak, mistrzu.

– Zostaw mnie teraz samego.

– Przygotowywałem się na to całe życie! – nie ustępował Luigi.

– Ale krótkie życie – westchnął smutno Aureil. – Bardzo krótkie życie. Wyjdź i zostaw mnie samego.

Ksiądz proboszcz Alojzy Demel wydusił z siebie prawie uprzejmy uśmiech, kiedy Ola i Kulawik pojawili się w drzwiach

gabinetu, choć wyraźnie przyszło mu to z trudem. Doktor Błażej – jak nazywali go chyba wszyscy, nawiązując do słynnego niegdyś *Szpitala na peryferiach*, z satysfakcją zauważył, że duchowny jest jeszcze grubszy od niego i nawet obszerna sutanna nie zdołała tego ukryć. Takie momenty poprawiały mu zwykle humor i radośniej nastrojały do rozmowy.

– Witam księdza! – Wyciągnął rażno dłoń. – Herbaty, kawy?

– Nie, dziękuję – odparł uprzejmie, ale dosyć chłodno gość.

– Usiądźmy – zaproponował Kulawik i wskazał duchownemu kanapę.

Oli nie podobały się protekcyjne spojrzenie i drażniący, jej zdaniem, sposób bycia klechy, jednak na razie postanowiła nie dawać tego po sobie poznać.

– Przejdę od razu do rzeczy – zaczął Demel, przymrużając oczy. – Jak długo to może potrwać?

– Rozumiem, że chodzi o pobyt księdza Krzysztofa w szpitalu? – upewnił się Kulawik.

– Oczywiście.

– Przy takich schorzeniach to bardzo trudne do określenia – wyznał szczerze lekarz. – Może kilka tygodni, może wiele lat.

– Jak to?! – Na duchownym wyraźnie ta wiadomość zrobiła piorunujące wrażenie. – Przecież go leczycie!

– Tak, ale to nie takie proste. – Kulawik pokręcił głową. – Ksiądz Krzysztof nie ma grypy ani anginy. Obawiamy się, że zapadł na ciężką psychozę, i możliwe, że będzie się z nią zmagał do końca życia.

Nawet Olę nieco zdumiał stanowczy ton doktora Błażeja.

– To znaczy, że nie wróci do nas? – spytał drżącym głosem proboszcz.

– Nie wiemy.

– Czy są państwo katolikami? – Ksiądz wyraźnie starał się opanować.

– Przepraszam – wtrąciła Ola. – Jakie to ma znaczenie w tym momencie?

– Chcielibyśmy, aby lekarz prowadzący księdza Krzysztofa był wyznania rzymskokatolickiego – wyjaśnił proboszcz tonem wyraźnie nieznoszącym sprzeciwu.

– To szpital państwowy – podjął wyzwanie Kulawik. – Od naszego personelu nie wymagamy zaangażowania religijnego, tylko profesjonalizmu. Ksiądz Krzysztof jest nie tylko kapłanem, ale także obywatelem tego kraju i podlega przede wszystkim prawu, które narzuca nam ustawa. Nie ma tam ani słowa o obowiązku bycia członkiem jakiegokolwiek wspólnoty religijnej.

– W takim razie przeniesiemy księdza Krzysztofa do innej placówki – odparł chłodno proboszcz.

– Nie wyrażamy na to zgody – oświadczył spokojnie lekarz.

– Chory ma chyba prawo do wyboru placówki, w której jest leczony!

– Nie w tym stanie. O zmianie szpitala może zadecydować tylko sąd na podstawie wniosku rodziny.

– Jedyną rodziną księdza Krzysztofa jesteśmy my.

– Rozumiem, ale z prawnego punktu widzenia to nie jest wiążące. Została wydana decyzja o ubezwłasnowolnieniu tego pacjenta na czas nieokreślony. Oznacza to, że do odwołania nie może on kierować własnymi poczynaniami.

– To nie do przyjęcia – jęknął ksiądz.

– Przykro mi.

– To bardzo niezręczna sytuacja dla naszej parafii. Dlaczego państwo jako lekarze nie chcą z nami współpracować?!

– Na razie słyszę żądania, a nie chęć współpracy. – Kulawik ani na moment nie stracił zimnej krwi.

Proboszcz odczekał chwilę, którą najprawdopodobniej zużył na tłumienie w sobie gniewu, i spróbował jeszcze raz.

– Co, jako parafia, możemy zrobić dla Krzysztofa? – spytał prawie spokojnie.

– To, co związane z potrzebami religijnymi, staramy się pacjentom zapewnić. Nasza kaplica jest czynna cały czas. Myślę jednak, że teraz potrzebny mu przede wszystkim spokój.

– Możemy go swobodnie odwiedzać?

– W wyznaczonych godzinach, tak.

Duchowny spuścił głowę. Stracił rezon i nagle zrobił się smutny.

– Możemy księdzu zadać kilka pytań? – wtrąciła Ola.

– Proszę – mruknął cicho.

Sambierska spojrzała kontrolnie na kolegę. Kulawik nieznacznie przytaknął głową.

– Wiem, że to dość ogólne – zaczęła – ale jaki ksiądz Krzysztof był przed chorobą? Wyglądał raczej na introwertyka czy człowieka otwartego? Na smutnego, wesołego, pogodnego... No, chodzi o wszystko, co ksiądz pamięta.

Ten temat wyraźnie się proboszczowi spodobał. Wydusił z siebie nawet uśmiech, splótł palce i spojrział na chwilę w górę, co chyba pomagało mu w skupieniu.

– Krzysztof to młody duchowny. Przepelniony wiarą i miłością. Otwarty, radosny... Z pokorą przyjmujący smutki.

„Rany boskie... – jęknęła w myślach Ola – gdzie oni się tego uczą?”

– Proszę księdza – powiedziała na głos. – Jesteśmy lekarzami, a to jest szpital, w którym leczymy ludzi, a nie odprawiamy rekolekcje ignacjańskie.

– Nie rozumiem. – Gniew powoli wracał na oblicze proboszcza.

– Proszę powiedzieć coś o pacjencie! Coś, co może nam się przydać. A nie oficjalną formułkę o tym, jak powinien wyglądać idealny duchowny.

– Pani chyba rzeczywiście dawno nie była w żadnej świątyni.

– Jestem ateistką – odparła zniecierpliwiona.

– Nigdy nie wpuściła pani Chrystusa do serca?

– Nie rozmawiamy na mój temat. – Ola nigdy nie przepadała za księżmi, ale ten wyjątkowo ją drażnił.

– Co jeszcze można o nim powiedzieć... – Proboszcz rozłożył ręce.

– Jak ksiądz myśli, dlaczego nasz pacjent został duchownym? Jest wysokim, przystojnym mężczyzną. – Ola postanowiła, że czas podręczyć klechę.

Kulawik rzucił jej subtelne, ale jednak bardzo krytyczne spojrzenie. To było głupie i niepotrzebne. Popisy pani doktor tylko dodatkowo rozdrażnią i tak niełatwego rozmówcę, leczenie utknie w martwym punkcie, a czas naglił.

– Proszę sobie wyobrazić, że jest coś więcej niż przyziemość i materialna pustota – rzucił nieprzyjemnym tonem proboszcz. – Podejrzewam, że trudno to pani zrozumieć, lecz Krzysztof czuł powołanie od wczesnego dzieciństwa. Wiem to od jego świętej pamięci rodziców. Później bezgraniczna wiara pogłębiała w nim potrzebę służenia Bogu i Kościołowi.

– Ksiądz Krzysztof naszym zdaniem posiada rozległą wiedzę filozoficzną i historyczną – wtrącił Kulawik, próbując uciąć ten do niczego nieprowadzący spór. – Czym, pomijając oczywiście duszpasterską posługę, nasz pacjent szczególnie się interesował?

Proboszcz dopiero po dłuższym czasie przeniósł wzrok z Oli na jej kolegę.

– Był wyjątkowo zdolnym klerykiem. Jest bardzo czytany. Ma pan rację, interesuje się filozofią, co u duchownych nie jest niczym wyjątkowym. O jego zainteresowaniach historycznych nie wiem. Ale mogę śmiało powiedzieć, że mimo tak młodego wieku już teraz wielu przełożonych postrzega go jako myśliciela o bardzo obiecującej przyszłości.

– Rozumiem. – Lekarz kiwnął głową. – A jego osobowość? Proszę teraz być szczerym, czy miał miłe usposobienie, czy...

– Czy takie jak ja? – przerwał proboszcz, w którego uśmiechu tym razem wyraźnie można było dostrzec ironię.

– Nie to chciałem powiedzieć. – Kulawik starał się być maksymalnie uprzejmy.

– Bywam surowy – odparł wyniośle ksiądz. – Ale przede wszystkim w stosunku do siebie. Posługa duchowa wymaga dyscypliny, to nieodzowne. Krzysztof nigdy nie dawał powodów do upomnień. Choć rzeczywiście był i jest ciepłym człowiekiem, cieszącym się wyjątkową sympatią i poważaniem wśród wiernych.

– A czy... – Lekarz zastanowił się przez chwilę. – Wiadomo coś księdzu o niepokojach naszego pacjenta? Lękach, myślach, które go w jakiś sposób prześladowały przed przyjściem tutaj?

Proboszcz uniósł brwi, stając się na chwilę jednym wielkim znakiem zapytania.

– Prawie każdy ma takie myśli, tyle że u zdrowych ludzi szybko mijają. Natomiast u niektórych... nie mijają i stają się czymś na kształt obsesji – wyjaśnił Kulawik. – Zapowiedź choroby eksponuje się właśnie w taki sposób.

– Krzysztof nie miał tego typu myśli. Był skupiony na pomocy innym. Nie miał zbyt wiele czasu dla siebie – odparł krótko proboszcz, skutecznie omijając wzrok lekarza.

– To znaczy... ksiądz nie zauważył takich objawów – wtrąciła Ola, wyraźnie akcentując słowo „ksiądz”.

Gniewne spojrzenie klechy wywołało złośliwą satysfakcję Sambierskiej.

– Nie mam już nic do dodania – powiedział oficjalnie proboszcz i uniósł się dostojnie z kanapy. – Nie mam także zbyt wiele czasu, a chciałbym odwiedzić księdza Krzysztofa. Czy to możliwe w tej chwili?

– Oczywiście – odparł szybko Kulawik.

– Jest chyba w swojej sali – dodała Ola.

Duchowny lekko skłaniając głowę bez słowa wyszedł

nie wahały się zesiad ich na sambierską.

– No co? – odezwała się wreszcie Ola.

- No, gówno! – warknął przez zęby lekarz. – Mogłabyś czasem puknąć się w głowę albo przebadać hormony?
- Nie lubię takich durniów jak on.
- To jest ksiądz! Duchowny, kapłan!
- I co z tego?!
- A to jest szpital! Twoja przeszłość nie może mieć wpływu na pracę! Jeśli wciąż nie umiesz zapanować nad tym, co się wtedy stało, zabieram ci tego pacjenta.
- Ten pacjent to co innego.
- To też ksiądz.
- Jest inny.
- I wiesz to po kilku minutach rozmowy z nim i paru kartkach dokumentów?! – Kulawik zmarszczył gniewnie czoło.
- Czuję to.
- Czujesz to?! – Lekarz pokręcił głową, jakby nie dowierzał. – Co to jest?! Film o amerykańskich gliniarzach, że masz „przecucia”?!  
– Przepraszam, dopiero wróciłam z urlopu, zapomniałam się. – Ola uniosła pojednawczo rękę.
- Uspokoisz się?
- Tak.
- Przystaniesz szaleć?
- Ja nie szaleję.
- Kolejne gniewne spojrzenie Kulawika przywołało ją do porządku.
- Dobra, dobra! Od tej chwili wzniosę się na wyżyny obiektywizmu i niezależności, dobrze już? – jęknęła zrezygnowana Ola.
- Idź do domu, zaczniesz od jutra. – Lekarz machnął ręką.
- Przecież jest dopiero jedenasta...
- Więc weź jego papiery i popracuj w domu. Ale zejdz z oczu temu proboszczowi!



Sala ćwiczeń drżała od uderzeń drewnianych mieczy. Luigi Balea, stojąc oparty o ścianę, przypatrywał się obojętnie, jak Iosif Punin bezlitośnie okłada czterech młodych alumnów. Jego ruchy zaskakiwały regularnością i konsekwencją, jakby tańczył według określonego z góry schematu. Żaden krok, unik, uderzenie nie były przypadkowe, a szybkość – tak niewiarygodna, że pozwalała na „ustawianie” sobie przeciwników w najdogodniejszy sposób, nie zostawiając im chwili wytchnienia. Kiedy Punin uznał wreszcie, że trening dobiega końca, bez trudu powalił na dębową podłogę każdego z podopiecznych w odstępie dosłownie ułamków sekund, ciosami niegroźnymi, ale bolesnymi i kończącymi się przynajmniej minutą na podłodze. Iosif się wyprostował. Był ubrany tylko w czarne, luźne spodnie do treningu. Całe jego złane potem ciało, potężnie umięśnione, bez grama zbędnego tłuszczu, lśniło światłem z lamp. Miał rzadkie, jasne włosy, małe, sine, chytre oczy i nazbyt wystające kości policzkowe.

Rzucił w kąt drewnianą atrapę miecza i zbliżył się do Luigiego.

– Co powiedział mistrz? – spytał, nie zważając na jęczących cicho uczniów na podłodze. Jego oddech szybko powrócił do normy.

– Przygotowujemy się – odparł z powagą Balea.

– Wspaniale. – Punin zacisnął pięści z pasją.

– Ty na razie zostajesz – dodał obojętnie Luigi.

– Co?!

– Taka jest decyzja.

– Jestem w twoim wieku i żyję tu jak ty, od dzieciństwa! Jestem lepszy od ciebie, wiesz o tym! – Jego nos zatrzymał się centymetr od twarzy Luigiego.

– Milcz! – mruknął cicho Balea. – Tu są studenci.

– Wyjdźcie! – wrzasnął w ich stronę wściekły Punin.

Czwórka obolałych chłopców, z których najstarszy miał najwyżej dziewiętnaście lat, szybko zebrała się z podłogi i w pośpiechu opuściła salę, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

– Przestań wreszcie knuć za moimi plecami! – warknął Punin. – Nie pozbędziesz się mnie. To ja znalazłem tego Polaka!

– Nie ty, Iosifie, tylko ludzie, których tobie przydzielono. – Luigi nawet na chwilę nie stracił zimnej krwi. Jego obojętny wyraz twarzy wydawał się tak naturalny jak śnieg na Syberii.

Punin z wściekłością cisnął zielonym habitem o podłogę, wydobywając z siebie wrzask, który z pewnością było słychać nawet za drzwiami.

– Ty głupcze! – rzucił z pogardą Balea i ruszył w stronę drzwi.

– Dlaczego?! – wrzasnął za nim Iosif. – Dlaczego ciągle ty?!

Luigi nie zamierzał dłużej tego słuchać. Otworzył drzwi i szybko za nimi zniknął.

Aureil wyłączył podgląd sali treningowej i zasunął ogromny obraz Joakima Skovgaarda, za którym znajdowały się ekrany. Podeszedł do biurka i nacisnął zielony przycisk po prawej stronie. Kiedy usłyszał głos strażnika, nachylił się nad mikrofonem.

– Przyślij do mnie Iosifa Punina! – rozkazał.

– Masz papierosa? – spytał Jacuś.

– Nie mam – odparł cierpliwie Krzysztof i zamknął oczy, usiłując odpocząć. Leżał na swoim łóżku na wznak w szlafroku.

Jacuś podeszedł nieśmiało do niego, drapiąc się prawą ręką w lewe ucho.

– Żle się czujesz? – spytał, nie otwierając oczu, Lorent. Wyczuł chłopaka bez problemu, ale wiedział, że nie umie być agresywny ani w żaden inny sposób niebezpieczny czy groźny.

– Mój organizm wymaga uspokojenia.

- Krzysztof otworzył oczy.
- Coś się stało?
- Jacusz rozłożył bezradnie ręce.
- Niestety, wciąż jestem śledzony – stwierdził. – Ponad wszelką wątpliwość.
  - Rozumiem – odrzekł spokojnie Lorent. – A nie uważasz, że fakt przebywania w tym szpitalu trochę cię jednak chroni?
- Jacusz zrezygnowany machnął ręką i przysiadł nieśmiało na łóżku księdza.
- Co oni tu mają za ochronę! Wiesz, co to dla nich przeniknąć przez takie drzwi czy bramę na dole? To pestka! Nic! Masz papierosa?
  - Wiem, że musisz się uspokoić, ale akurat w tym pokoju raczej jesteś bezpieczny. Wszyscy możemy być w razie czego świadkami; ja, pan Alojzy. – Krzysztof wskazał na leżącego pod ścianą katatonika.
  - Pan Alojzy?! On nawet nie wie, o co w ogóle chodzi!
  - A ja?
  - Myślisz, że mógłbyś ich zauważyć? – spytał Jacusz z nadzieją.
  - Jestem sługą bożym. – Krzysztof powiedział to niechętnie, ale rozumiał, że trudno o lepszy argument.
- Chłopak zamyślił się, chowając twarz w dłoniach.
- Gdyby nie te cienie... – jęknął płaczliwie po chwili. – Wiesz, jak to jest... czuję się zmęczony.
  - Tak, wiem. Połóż się, popilnuję otoczenia. Na pewno teraz się nie odważą.
  - Lubię kolor zielony. I panią Karpińską, mieszka naprzeciwko mamy – wyznał szczerze Jacusz. – A ty lubisz na przykład Beatlesów?
  - Nie zgadzam się z niektórymi rzeczami, o których śpiewali, ale... raczej tak.
  - Johna śledzili i w końcu go zabili 8 grudnia o 22.50. George'a otruli...
  - George Harrison zmarł na raka gardła i krtani.

– ...29 listopada 2001 roku – uzupełnił chłopak. – Ale to tylko wersja oficjalna. Dwa lata wcześniej już próbowano go zabić, nie sądzisz?

– Napadł go zwykły rabuś – odparł cierpliwie Krzysztof.

– Boże, jaki ty jesteś naiwny! – zachnął się Jacuś i zerwał z łóżka. – Nie potrafisz wyjść poza te zwykłe pięć zmysłów! Świat szumi, mówi, kołysze się, straszy, pociesza, morduje, jednak nikt tego nie słyszy. Nikt nie słyszy tych głosów. A jak stajesz się wyjątkowy, wtedy przeklinasz tę chwilę i nie chcesz... Masz papierosa?

– Nie mam. – Krzysztof ponownie zamknął oczy.

– Ile razy rozmawiałeś z Bogiem? – nie dawał za wygraną chłopak. – Przyznaj się. Ile razy słyszałeś jego głos?

– Codziennie.

– Co codziennie?

– Codziennie rozmawiam z Bogiem. Po prostu czuję w sobie jego wolę i głos.

– Tak dosłownie?!

– Umiem się na to otworzyć.

– I to nie wyobrażenie?

– Nie.

– Ale słyszysz go tak jak mnie teraz? W taki sposób?

– Nie w taki sposób.

– To z nim nie rozmawiałeś! – zawyrokował Jacuś.

Krzysztof otworzył oczy i usiadł na łóżku. Był wyraźnie znużony, ale uznał, że chłopakowi należy się wyjaśnienie.

– Jacku... nie jesteś Bogiem. Jesteś człowiekiem. Nie możesz rozmawiać ze Stwórcą jak z ludźmi. Z Bogiem rozmawia się językiem wiary. Wpuszcza się go do swojego serca i dzięki temu uczy się pokory, miłości, czasem poświęcenia, czasem cierpienia. Ci, którzy „słyszą” Boga w sposób, w jaki my tu rozmawiamy, ulegają zwykłej ułudzie i najczęściej są chorzy. – Lorent uśmiechnął się do chłopaka, usiłując złagodzić ciężar ostatnich słów.

– Przebywam w tym szpitalu, bo jestem inny, a nie chory. To znaczy: jestem chory, ale... jestem tu, bo mam takie... lęki i trudno mi być wtedy samemu... – Głos chłopca stał się płaczliwy. – Dlaczego ja?! Dlaczego nie mogę być zwykłym studentem?!

– Spokojnie, wszystko dobrze. Po prostu masz gorszy dzień... – Ksiądz nieśmiało próbował wyciągnąć do niego rękę.

Jacusz zacisnął mocno usta, stał przez chwilę, szukając odpowiedniego słowa, po czym nagle wybiegł z sali.

– Jacek! – zawołał Krzysztof, ale chłopak był już daleko na korytarzu. – Przepraszam...

Spuścił głowę. Dotknął czubkami palców czoła i pozostał tak w bezruchu kilka chwil. Po minucie, może dwóch, usłyszał na korytarzu kroki, a następnie skrzypnięcie drzwi, lecz nie był to żaden chory ani nawet lekarz. Tym razem pojawiła się w nich zwalista postać księdza Demela.

– Jak się czujesz? – spytał z niekłamaną troską w głosie proboszcz.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nieźle – odparł niemal pogodnie Krzysztof. – A co u ciebie, wujku?

– Trochę pusto.

Lorent wydusił z siebie uśmiech.

– Chyba nie zaniedbujesz wiernych?

Tym razem, co może wydać się niewiarygodne, uśmiechnął się proboszcz.

– Rozmawiałem z tutejszym personelem. – Nagle spoważniał, kiedy tylko wypowiedział te słowa.

– To chyba nie był najlepszy pomysł – skomentował szybko Krzysztof.

– Dlaczego?

– Wybacz, że to mówię, ale nie sądzę, abyś znalazł z nimi wspólny język.

– Nie rozumiem...

– Rozumiesz – odparł ciepło, jednak bez cienia wątpliwości Lorent.

– Znowu zaczynasz. – Proboszcz pokręcił głową, okazując niezadowolenie. – Możesz mieć mnie za oschłego, lecz nie za ograniczonego. Staralem się nawiązać z nimi odpowiedni dla naszej sytuacji kontakt.

– I jak wam poszło? – spytał, znając odpowiedź, Krzysztof.

– To nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Nie zapewnią ci tu takiej opieki jak trzeba.

Ksiądz Demel zaczął chodzić po sali w tę i z powrotem, mrugając śmiesznie oczami. Długo przy tym milczał, jednak widać było, że zbierał się do dłuższej przemowy. Głośno oddychał, rozcierał dłonie, co kilka sekund spoglądając na swojego wychowanka.

– Nie denerwuj się – uspokoił go Lorent. – Nie są tacy źli.

Proboszcz ponownie pokręcił głową.

– Nie powinieneś tu być – upierał się. – Wyraźnie ci się poprawia, czujesz się coraz lepiej, a ta atmosfera zatruwa twój umysł!

– To szpital dla umysłowo i psychicznie chorych, wujku. Jaka ma być tu atmosfera? Modlitewnego skupienia?

– Przeszły ci już te... przywidzenia, prawda?

– Tak – skłamał Krzysztof, ale Demel wyraźnie go do tego zmusił.

– To co tu jeszcze robisz? Mój ojciec miał w pięćdziesiątym trzecim zapalenie mózgu. Po pewnym czasie wszystko wróciło do normy i przeżył jeszcze sporo pięknych lat...

– Nie planuję umrzeć – zapewnił Lorent.

– No, ja myślę. Chciałbym z tobą porozmawiać, jak zorganizować twój powrót.

Krzysztof nieznacznie drgnął. Znów lekko dotknął czubkami palców swojego czoła, jakby zastanawiał się, czy przypadkiem nie warto przemilczeć tego, o czym właśnie chciał powiadomić przełożonego. Przymknął oczy, aby łatwiej się

skupić i wyrównać oddech, zakłócony nieco myślami, które opanowały jego umysł i rozpraszały spokój. Do rozmowy na ten temat przygotowywał się już od kilku dni, mimo wszystko nastąpiła chyba zbyt szybko.

– Ja już nie wrócę, księżę proboszczu – powiedział cicho, ale nawet taki ton podziałał na Demela, jakby ktoś rzucił w niego stukilowym odważnikiem.

– O czym ty mówisz?! Przecież przed chwilą...

– Nie wrócę już do kapłaństwa – wyjaśnił krótko i treściwie Lorent.

Nastąpiła dość długa i kłopotliwa cisza. Szeroko otwarte oczy proboszcza zdradzały bezradność i niedowierzanie.

– Nie rozumiem...

– Jeśli mnie stąd wypuszczą, wujku, odejdę z Kościoła. Przeszanę być księdzem.

– Ale... dlaczego?! Jak to w ogóle możliwe?

– Nie sądzę, abym potrafił ci to teraz wytłumaczyć.

– Może jednak spróbuj... – Głos proboszcza wyraźnie się załamał.

– Myślę, że Bóg... Czuję to... wyznacza mi teraz inne zadania. Ja muszę w tej chwili robić coś innego.

– A co można robić lepszego dla Boga, niż mu służyć?!

– Nie mówię, że to, co zmuszony jestem robić, będzie lepsze. Mówię tylko, że to konieczne.

Demel ukrył twarz w dłoniach.

– Nie mogę tego słuchać. Mówiłeś, że jest ci lepiej, że zdrowiejesz.

– Nigdy nie byłem chory – odparł śmiertelnie poważnie Krzysztof, zaglądając głęboko w oczy proboszczowi. – Ani oni, ani ty nie jesteście w stanie tego zrozumieć, choć to prawda.

– Wszyscy pacjenci w tym szpitalu tak mówią! – Demel nie wytrzymał.

– To nie ma sensu. – Lorent zrezygnowany pokręcił głową. – Porozmawiajmy kiedy indziej.

– Uspokój się. Mam głęboką wiarę, że to minie i wszystko skończy się dobrze.

– Nic nie minie.

– Ja wiem swoje.

– Nie zmienię zdania, wujku.

Demel uśmiechnął się, jakby kompletnie nic się nie stało.

– No, chyba rzeczywiście pora na mnie. Przyjdę jutro.

– Nie wierzysz mi?

– Jutro porozmawiamy. – Proboszcz chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. – Oby Bóg miał cię w swojej szczególnej opiece i zesłał na ciebie błogosławieństwo zdrowia i głębokiej wiary.

Aureil przywitał Punina dobrotliwym, starym uśmiechem.

– Zbliź się, chłopcze! – Wskazał mu miejsce na drewnianym krześle, metr od biurka, za którym siedział.

– Wybacz, ojcze, nie zdążyłem jeszcze wziąć kąpieli. – Iosif schylił nisko głowę.

– Nie szkodzi, nie będę cię długo zatrzymywał.

Mistrz wstał i wolno zaczął chodzić po komnacie.

– Wszystko w porządku, chłopcze? Zdrowie dopisuje? – spytał pogodnie.

– Jak najbardziej, ojcze.

– Postępy w treningach?

– Zadowolające, ale wciąż czynię wysiłki, aby wykorzystać maksimum możliwości.

– To dobrze, dobrze...

Aureil wolno pogładził swoją siwą czuprynę, spacerując przez chwilę w milczeniu.

– Wiesz, jak kocham swoje gołębie? – zapytał nagle.

– Tak, mistrzu, wszyscy to wiemy.

Starzec rozłożył ręce, jakby borykał się z problemem, którego nie potrafił rozwiązać.



- Mam z nimi ostatnio sporo zmartwień.
- Coś się stało? – spytał niepewnie Punin.
- Od dobrych kilku dni zachowują się niespokojnie. Mniej jedzą, odnoszę nawet wrażenie, że ich społeczne zachowania straciły na sile. – Zakłopotanie na twarzy Iosifa nie wywołało żadnej reakcji starca. – Legendy o tym, że łączą się w pary na całe życie, są prawdziwe – ciągnął. – Samiec wybiera sobie partnerkę i zostaje z nią do końca, chyba że zdarzy się jakieś... – Aureil przeniósł wzrok na młodzieńca i zmarszczył brwi. – Czasem jednak nie jesteśmy w stanie odgadnąć, co może wpędzić w nieszczęście tak wrażliwe stworzenie. Gruboskórni, arogancy homo sapiens dawno już utracili cechującą ich jeszcze kilkaset lat temu empatię w stosunku do natury, nie sądzisz?
  - Tak... to możliwe – odparł nieśmiało Punin.
  - Gołębiom być może wystarcza samo przeczucie nieszczęścia... – Aureil znowu charakterystycznym gestem pogładził swoje włosy. – Może wyczuwają niepokój u innych? Nie bez przyczyny są symbolem pokoju, bo właśnie wtedy, gdy milknie nienawiść, zazdrość, zawiść... gdy podłość zostaje zwyciężona przez miłość, jak wykazują liczne przesłanki, wtedy gołębie są najszczęśliwsze. Dają się dotykać ludziom, płodzą liczne potomstwo, mają apetyt...
    - Tak, tak. Też o tym słyszałem.
    - Jak myślisz, Iosifie, czy jest możliwe, że w naszym otoczeniu mogło zdarzyć się coś, co niepokoiłoby nawet tak nieświadome zwierzęta jak moje gołębie? Wiesz... one są jak najczulsze urządzenia. – Starzec się uśmiechnął.
    - Nie zauważyłem, aby w zamku... to znaczy w naszej społeczności, miały ostatnio miejsce jakieś niepokoje. Natychmiast bym o tym ojca powiadomił – oświadczył pewnym głosem Punin.
    - Rozumiem. To mi wystarcza. Możliwe przecież, że to ta nowa karma, którą przywiózł z Paryża Claude.
    - Czy mogę odejść? – spytał z nadzieją Iosif.

– Oczywiście. Przepraszam, że cię niepokoiłem. Wiesz, jak to jest; stary człowiek czasem musi wylać swoje żale.

Młodzieniec uklonił się z szacunkiem i ruszył w kierunku drzwi.

– A, jeszcze jedno! – dogonił go głos Aureila.

– Tak, mistrzu?

– Skoro już mnie odwiedziłeś... zapytam: a ciebie nic nie martwi? Masz wszystko, czego ci trzeba?

– Nie mam wielkich wymagań, ojciec – odparł z dumą Punin.

– Wiem, ale mów śmiało – zachęcił starzec.

Iosif przez chwilę walczył z myślami.

– Wszyscy przygotowujemy się na spotkanie z Kapłanem. Staram się oczywiście zachować należyty spokój, ale... jestem tym podniecony i wiele sobie po tym obiecuję.

– To oczywiste. Doskonale cię rozumiem. Dla każdego z nas to wielkie przeżycie – przyznał dobrotliwie mistrz. – Musimy się dobrze przygotować.

– Tak, ojciec.

– Jak uczy nas historia, cierpliwość jest jedną z najpotężniejszych, ale i, niestety, najrzadziej spotykanych cnót. Jej brak strącał już z piedestału największe potęgi tego świata. Najmężniejsi herosi ginęli, popełniając ten błąd. A na historii znamy się tutaj chyba szczególnie dobrze, prawda, chłopcze?

– Tak, mistrzu.

– Tak à propos historii... wiesz, jakie słowa wypowiedział wielki Ajaks pod Troją, gdy na polu bitwy zobaczył Hektora?

– „Oto wreszcie człowiek, którego warto zabić”.

– Właśnie. I co uczynił?

– Ruszył na Hektora...

– ...i zginął – dopowiedział Aureil. – Wielki, niezwykłony Ajaks stojący u wrót miasta swoich marzeń, w najsłynniejszej bitwie wszech czasów, której każdy bohater miał przejść do historii. I właśnie w tej najważniejszej chwili taki heros nie

potrafił zrozumieć, że jeszcze nie czas. Że bogowie wyznaczyli Hektorowi inny moment na śmierć.

Starzec zbliżył się do Punina i położył mu na ramieniu dłoń.

– Całą sztuką życia, mój chłopcze – ciągnął mistrz – jest umiejętność znalezienia w sobie wiedzy nie tylko na swój temat, lecz także na temat własnego przeznaczenia. To również dotyczy nas. – Aureil ponownie zmarszczył mocno brwi.

– Wiem, jak to trudne, ojczu – powiedział cicho Iosif.

– Na pewno? – Palce starca zacisnęły się na ramieniu Punina, aż chłopak poczuł wzbierający ból.

– Staram się, mistrzu! – jęknął.

– Nie zawsze śmierci da się uniknąć – kontynuował Aureil, nie zwalniając uścisku. – Ale nigdy ona nie może być pozbawiona sensu.

– Tak, mistrzu!

– Achilles, ulubieniec bogów, niemal nieśmiertelny rycerz, zanim wybrał się na tę wojnę, przyszedł do matki, prosząc o radę. „Jeśli nie pojedziesz tam, będziesz żył długo – odparła. – Ale gdy prochy twoje znikną pod ziemią, zginiesz na zawsze. Jeśli jednak przybędziesz tam, już nie wrócisz, ale w umysłach ludzi będziesz żył wiecznie”. Co wybrał, wiemy wszyscy. Tylko czy mądrze? – Aureil jeszcze mocniej zacisnął palce.

– Nie wiem, ojczu... – jęknął chłopak, czując, jak zaczyna się trząść z bólu. Żelazne imadło precyzyjnie uciskające nerw promieniowy powodowało trudne do wytrzymania cierpienie.

– Dobrze! – odparł łagodnie starzec i lekko zwolnił uścisk. – Tylko on mógł znać prawidłową odpowiedź na to pytanie. My nie dowiemy się już nic więcej, co najwyżej możemy być mu wdzięczni za jego wielkość.

– Tak, ojczu.

– Czy obiecasz mi, że w modlitwach i indywidualnej medytacji poświęcisz więcej czasu temu zagadnieniu?

- Tak, ojcze!
  - Czy zajrzysz w głąb siebie, dokładając wszelkich starań, aby wydobyć prawdę?
  - Taaak, ojcze... – Iosif wciąż nie mógł powstrzymać drżenia ciała.
  - Wracaj do siebie, rycerzu. Jeśli Bóg cię wybrał, będziesz o tym wiedział – zakończył spokojnie mistrz, zdejmując rękę z jego ramienia.
- Punin był przerażony.

Więcej informacji na  
**[www.5why.pl/kotowski](http://www.5why.pl/kotowski)**